

PIOTR ZAREMBA

Główną rolę w „Oknie na tamtą stronę”, zjawiskowym Teatrze Telewizji, umocnił się w czołówce polskich aktorów. Od niedawna występuje w serialu kabaretowym TVP „La la Poland”. Czy Wojciech Solarz stanie się gospodarzem wyobraźni zbiorowej Polaków?

KULTURA

ARTYSTA KOMPLETNY



Solarz jako konferansjer to swoisty mistrz ceremonii kabaretowych rytuałów. **Niedorzeczny, pogubiony, niezgrabny, niczym kosmita zrzucony na ziemię.** Na zdjęciu podczas próby spektaklu „Trzecia młodość bociana”

Okno na tamtą stronę” to klejnot w koronie obecnego Teatru Telewizji. Dowód na jego poziom artystyczny, ale i tematyczną różnorodność. Artur Hofman, żydowski artysta i działacz społeczny, spróbował nam opowiedzieć o warszawskim getcie słowami niesłusznie zapomnianego kabareciarza i poety Władysława Szlengla. Zrobił to uczciwie. Są w widowisku przedwojenne, sarkastyczne teksty Szlengla przeciw antysemitom. Ale jest też jego miłość do Warszawy, związek z ówczesną polską „popkulturą”, warszawskim folklorem. Także jego potężne rozgoryczenie podczas wojny kierowane jest przeciw wszystkim: Polakom, Żydom z Zachodu, a nawet Bogu.

Nagina role pod siebie

Azarazem jest to spektakl wstrząsający i piękny. Ze zjawiskową muzyką Hadriana Tabęckiego, w wolnych od wrażenia sztuczności dekoracjach Wojciecha Majdy. Wyśpiewany przez Katarzynę Dąbrowską, Katarzynę Zak, Adrianę Gruszkę, Artura Barcisia i zwłaszcza przez współczesnych mistrzów przechodzenia od komizmu, groteski, farsy do najczystszej tragedii – myślę o Marcinie Przybylskim i Krzysztofie Szczepaniaku. Ale największy ciężar spoczął na Wojciechu Solarzu grającym Szlengla.

Za jego wyborem do tej roli kryła się myśl. Solarz sam jest jednym z twórców kabaretu Na Koniec Świata. Nie tylko występuje w nim od ośmiu lat, ostatnio wita

gości jako konferansjer (nazwałem go „Fryderykiem Jarossym ery postmodernizmu”), ale też pisze teksty. Kto jak nie on powinien rozumieć Szlengla pokazywanego w pierwszych scenach z lat międzywojennych, w konwencji rozdekazywanego dowcipnisia?

Zarazem 39-letni Solarz ma szczególną aktorską wrażliwość. W kabarecie potrafi przechodzić najzabawniejsze transformacje, bywa groteskowym staruszką i rozszalałym rockmanem. W teatrze, w filmie jest jednak dość powściągliwy, unika nadmiernych zabaw techniką. W swoim sposobie gry przypomina Gustawa Holoubka – nagina postaci do swojej osobowości. Nie zmienia za bardzo głosu nacechowanego warszawskim akcentem, oszczędnie gospodaruje mimiką, często bardziej opowiada, niż się wczuwa. Bywa refleksyjny, niekiedy odrobinę bezradny, tak po chaplinowsku. Czuje się w tym jakiś jego osobisty rys.

Ta oszczędność środków dała tu znakomite efekty. Mieliśmy poczucie, że nie tylko nie pada jedno zbędne słowo, ale nie pojawia się zbędny gest, przesadzona mina. A zarazem w kilku miejscach trochę te ustanowione przez samego siebie bariery połamane. Kiedy krzyczał do Pana Boga w niebie słowami wspaniałej poezji, szarpał serce widza. I dało to efekt bardziej porażający, niż gdyby w każdej innej scenie mocniej manifestował emocje swojego bohatera. To piękna, krystalicznie czysta rola.

I okazja, żeby się przyjrzeć samemu Solarzowi. Aktor zagrał kilka dużych ról filmowych, ale nie należy do zastępu celebrytów obecnych w co drugiej produkcji. Po debiucie w roli Hamleta w

Teatrze Ochoty sprawnie, choć częściej na drugim planie, spełniał się w obsadach różnych sztuk w renomowanych teatrach: Ateneum, a od 2004 roku w Narodowym. Ale po dziesięciu latach porzucił ciepłkę stałej posady, aby szukać miejsca w dorywczych przedsięwzięciach teatralnych i mieć czas na inne swoje pasje: kabaret i film. Zaryzykuję twierdzenie, że mało który aktor tworzy całym swoim dorobkiem tak spójną, nieprzypadkową całość. Dotyczy to i twórczości kabaretowej, i kręcenia własnych filmów, i nawet wielu ról granych „u kogoś”.

Jedyny taki kabaret

Zacznę od kabaretu Na Koniec Świata. Grupa zawodowych aktorów występujących co parę miesięcy na skromnej warszawskiej scenie Przodownik nie zachowuje się jak kabaretowi „profesjoniści”. Unikają wulgarności i tematycznej doraźności, mnożą przed zaprzyjaźnioną publiką humor chwilami tak abstrakcyjny i cienki, że na telewizyjnych kabaretonach, gdzie czasem ich się dopuszcza, budzą zaskoczenie.

Na swej twórczości praktycznie nie zarabiają. A jednak w przerwach między innymi zajęciami są w stanie, zawsze w ostatniej chwili, w poczuciu niedoczasu stworzyć nie jeden, ale wiele światów równoległych. Czasem podobni do Monty Pythona, czasem do kabaretu Mumio, a często jedynie do samych siebie.

To trzeba zobaczyć, żeby zrozumieć urok kostycznego humoru Roberta Majewskiego czy Pawła Koślika, zasmakować w kamiennej twarzy ich Bustera Keatona – Macieja Makowskiego, docenić zabawę własną fizycznością Sebastiana „Stanki-ego” Stankiewicza, dać się porwać wigorowi rozsadzającej wszystkie konwencje Izabelli Dąbrowskiej, parodystycznym zapędem Olgi Sarzyńskiej, transformacyjnym zdolnościami Agaty Wątróbskiej, cienkością humoru Zuzanny Grabowskiej. Są teamem w każdym tego słowa znaczeniu. Solarz jako konferansjer to swoisty mistrz ceremonii kabaretowych rytuałów. Niedorzeczny, pogubiony, niezgrabny, niczym kosmita zrzucony na ziemię. A zarazem gra w tym kabarecie dosłownie wszystko – w skeczu „W starym kinie” nawet psa. Jest żywiołem, duchem Na Koniec Świata.

Jeśli parodiują, powiedzmy, telewizyjny program, to celem głównym nie jest nabijanie się z instytucji. To za łatwe. Powstają małe traktaciki o ludzkiej naturze. Ich bohaterowie to często dziwadła, nieudacznicy, maniacy, czasem całkiem odrealnieni, a czasem jednak zakorzenieni w polskiej rzeczywistości. Reżyser i autor wielu ich tekstów Wawrzyniec Kostrzewski popycha ich nieco w kierunku konkretnego. Wtedy pojawiają się nawet, z rzadka, skecze polityczne, też subtelniejsze niż w innych kabaretach. Dla konserwatystów są zbyt frywolni i zdystansowani wobec „dobrej zmiany”, dla dawnego mainstreamu niepoprawni politycznie, jak wtedy gdy przedrzeźniają Krystynę Jandę (znakomita Olga Sarzyńska).

Solarz jako autor tekstów i ich interpretator, jak sam o sobie mówi, „dawny

szkolny błazen” rozśmieszający kolegów wierszykami, to uosobienie zabaw językiem, logiką i sensem. A na dnie tych igraszek, czasem sztubackich, a czasem piętrowych i wyrafinowanych, jest jakieś ciepło, wyrozumiałość, pochylenie się nad człowiekiem, jak u wielkich komediopisarzy. To jego znak firmowy.

Teraz dostali nową szansę – od TVP, w postaci kabaretowego serialu „La la Poland”. Przeróbka niszowego, elitarnego kabaretu na widowisko dla masowej publiczności to trudny eksperyment. Powstaje pytanie o tolerancję instytucji, z której kabarety odpłynęły po nastaniu ekipy Jacka Kurskiego. Po pierwszym odcinku widać, że choć przeważa uroczą abstrakcja, jest i trochę zanurzenia w polskiej rzeczywistości, nie zawsze w zgodzie z seryjnie konserwatywną wrażliwością.

A zarazem, czy uda się przenieść niepowtarzalną atmosferę opartą na porozumieniu z widownią na ekran, który każąc przemawiać poprzez kamerę do wszystkich, może takich dowcipnisiów spęszyc albo sprowokować do taniości i szarży? Pierwsze wrażenie jest optymistyczne: trzymają poziom. Teksty piszą między innymi Wawrzyniec Kostrzewski, Maciej Makowski, Robert Majewski i naturalnie Solarz. Jego rola jest tu odrobinę mniejsza. Nie ma w „La la Poland” konferansjera, zastąpił go głos Adama Ferencego z offu, on zaś jest jedną z dziesięciu twarzy, skądinąd tak wyrazistych, że chce się zakrzyknąć: polscy komicy są wciąż na świecie! I warto pamiętać: tam gdzie jest tekst szczególnie dziwaczny, ale z nutką poezji, to mogą być zdania autorstwa Solarza.

Kino osobiste zaprasza

Ten swoisty humanizm surrealisty widać jeszcze wyraźniej, kiedy dotknąć twórczości filmowej aktora. Wielu ludzi nie wie, że człowiek występujący w komercyjnych produkcjach po godzinach tworzy własne kino. On sam opowiada, że „Tajemnicę Alberta” (2008) stworzył za 2 tysiące złotych, a scenariusz napisał pięć lat wcześniej w szkole teatralnej.

Pozornie jest to błaha i niedorzeczna historyjka. W istocie traktacik o ludzkiej naturze. Jest w niej głupota, niedorzeczność i – jakby przeciw tej człowieczej ułomności – siła przyjaźni. Nieco podobną, bardziej skomplikowaną, strukturę ma „Norbert Juras i syn” (2011). Kiedy oglądałem tę dziwną przypowieść, miałem w głowie młodego Felliniego stwarzającego swój świat z codziennych elementów, które nagle zaczynają pękać w dziwnym tańcu, a jednak pozostają rzeczywistością realną.

„Odwyk” (2011) to z kolei zabawa tematem historycznym, reżyserował ten obrazek Krzysztof Jankowski, ale Solarz jest współautorem scenariusza i odtwórcą głównej roli. Gra Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego rozpijającego szpital, który ma wyleczyć go z alkoholizmu. Te produkcje robi grupa przyjaciół za darmo – przede wszystkim człowiek z kapitalną vis comica, Robert Jarociński, kolega Solarza z roku. Także inny przyjaciel Maciej Makowski (piszący też do tych obrazków zjawiskową muzykę), w „Tajemnicy Alberta” Modest Ruciński, w „Odwyku” Mateusz Rusin.

– Praca z Wojtkiem to spełnienie moich marzeń o robieniu kina. Rozumiemy się, inspirujemy, przekuwanie zdań z kartki papieru w rzeczywistość ekranową jest z nim tak pasjonująca, że można nie spać,

nie jeść – mówi lekkim tonem, a jednak serio Maciej Makowski. Andrzej Wajda, przez moment nauczyciel Solarza w swojej szkole filmowej, uznał introdukcję do „Tajemnicy Alberta” za przykład perfekcji, zgrania obrazu z muzyką (autorstwa Makowskiego), ale i z fantazją. Jak się ją ogląda, zaczyna się rozumieć Solarzowy świat. Nie jest to świat dla każdego. Mnie urzeka.

Początek długiej drogi

Teraz nakręcił, w lwiej części same-mu (TVP wsparła go dopiero na finale), godzinny, bardzo osobisty film „Okna okna”, który idzie tropem pierwszych nowelek. Chaplinowski główny bohater (oczywiście sam Solarz) szuka sensu życia w wiejskim krajobrazie, tyle da się o nim powiedzieć na pierwszy rzut oka. A wokół znowu przyjaciele: Jarociński, Leszek Lichota, Zuzanna Grabowska, Iza Dąbrowska, Maciej Makowski. Solarz dopiero zaczyna wędrówkę, ale z tego może się wykluczyć bardzo interesujące, osobne kino. O ile artysta wyjdzie z niszy i pogodzi wszystkie swoje aktywności.

Bo pozostają jeszcze role „u innych”. Często obsadzany w roli przyzwoitego chłopaka, potrafił zarówno rozbawić („U Pana Boga w ogródku” i „U Pana Boga za miedzą” Jacka Bromskiego), ale i wzruszyć („80 milionów”, serial „Sprawiedliwi” – tytuły Waldemara Krzystka). A czasem grzął w mieliznach papierowych scenariuszy (tylko przyzwoity Konrad Tom w ledwie poprawnym serialu „Bodo”). Trudno uniknąć wrażenia, że może najlepiej czuje się w produkcjach offowych, niewymuszonych. Jego zabawny duet z Jarocińskim w „Bobrach” Huberta Gotkowskiego pamięta się długo, gdy przebrnie się przez nieco chaotyczną fakturę filmu i jego koszarowy humor.

Także w teatrze bywało różnie. Kapitałne role, jak np. Majordomusa w „Księżniczce na opak wywróconej” Calderona-Rymkiewicza w reżyserii Jana Englerta w Teatrze Narodowym (sprzed ośmiu lat), i poczucie, że najważniejsza wypowiedź wciąż przed nim. W „Wichrowych wzgórzach” w Teatrze Studio dostał szansę na główną rolę, nie schodził ze sceny przez trzy i pół godziny jako mroczny Heathcliff. Mam jednak wrażenie, że ciekawie zapowiadająca się postać została popsuta przeróbkami XIX-wiecznego tekstu przez Julię Holewińską i reżyserskimi dziwactwami Kuby Kowalskiego. Choć są ludzie, wśród których ten grany od sześciu lat spektakl uzyskał status kultowego.

Jego Heathcliff okazuje się mało demoniczny i może to paradoksalne zwycięstwo aktorskiej natury Solarza, który częściej stawia na zwyczajność, powszechność. I który rzadko grywa drani. O tym, że umie to zrobić, przekonałem się właściwie raz. W jednej z trzech nowel filmowych pomieszczonych w obrazie „Oda do radości” z 2004 roku. Jego selekcjoner przy wejściu do klubu muzycznego był naprawdę odpychający. Bywały i ciekawe propozycje w Teatrze Telewizji, choćby zagubiony brat Andriej Prozorow w pomysłowej interpretacji Czechowowskich „Trzech sióstr” autorstwa Agnieszki Glińskiej. Ale chyba dopiero Artur Hofman postawił na niego w pełni, budując całą opowieść na osobowości Solarza.

Tylko że Wojciech Solarz zdaje się coraz bardziej sam sobie pisać reguły udziału w polskiej kulturze. Czy ma szansę stać się gospodarzem wyobraźni zbiorowej? Tego bym Polakom życzył. Staliby się wówczas lepsi. ☺☺